№ 44. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 19 (31) Października 1891 r.

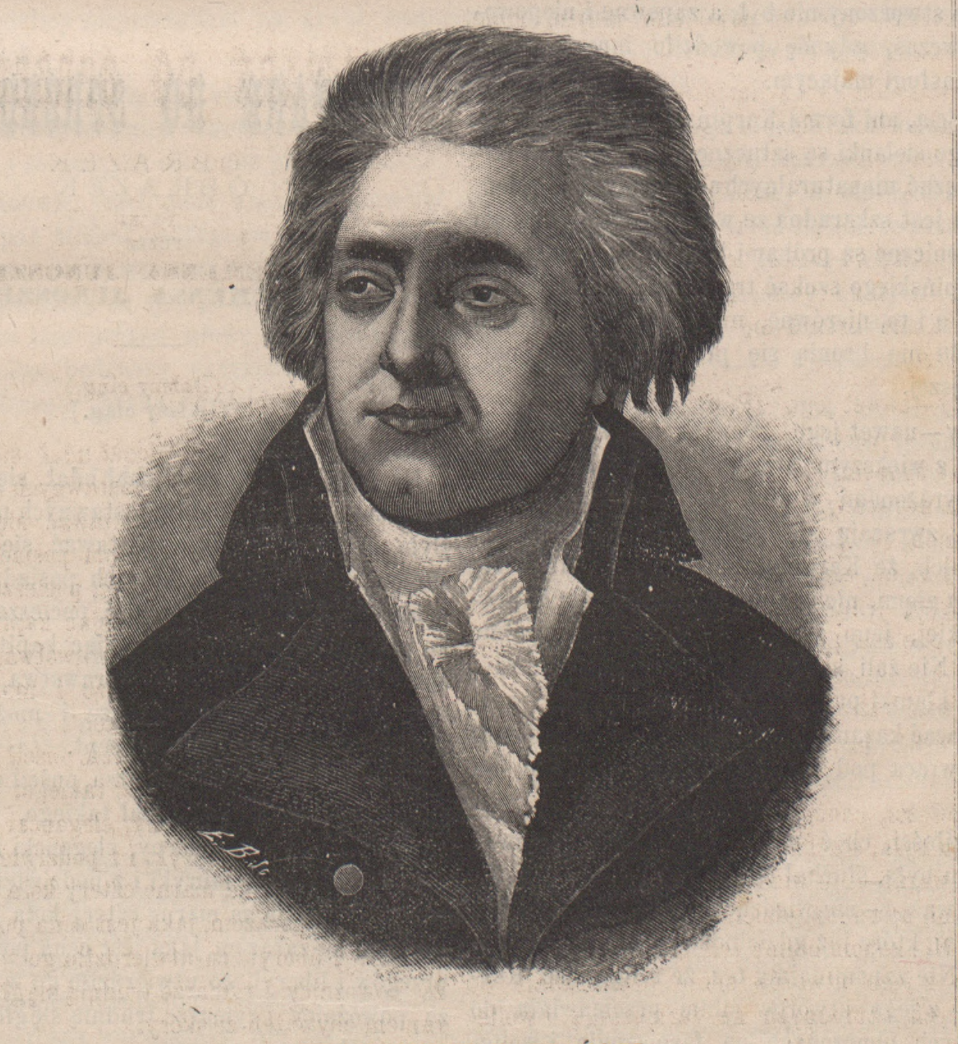
PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Franciszek Karpiński.

Lat temu sto pięćdziesiąt przyszedł na świat poeta ten na Pokuciu, w rodzinnym Hołoskowie. Ojciec jego był ubogim i zacnym szlachcicem, który postaremu wierzył w uczciwość, jako w obowiązek, a religią miał za jedyny skarb duszy. W tych wyobrażeniach wzrastał więc przyszły „kochanek Justyny." Uczył się w Stanisławowie początkowo, później u jezuitów we Lwowie i próbował losu w palestrze, która mu jednak do gustu nie przypadła. Po kilku latach próby w trybunałach, znalazł się w towarzystwie młodego Puzyny, przesiedział z nim parę lat w Wiedniu, a wróciwszy do kraju, postanowił szukać karyery na wielkim świecie. Pisywał już wtedy i wydał, z dedykacyą dla ks. Adama Czartoryskiego, „Zabawki wierszem i prozą." Książę, ujęty tą grzecznością, powołał go do Warszawy.

Naruszewicz tutaj wprowadził go na zamek, gdzie mimo uniżoności, pochlebstw i wielkiego rozumienia o sobie, nie wiodło się poecie. Pisał wówczas rozprawę „O rzeczypospolitej," „O wymowie" i sporo drobnych rzeczy z zakresu polityki, ale największe wrażenie sprawił jego „Głos zabitego do sądu" zpowodu procesu Kaszyca, obwinionego o zabójstwo.

Po rozstaniu się z księciem Adamem, z którym w zdaniach godzić się nie umiał, przeniósł się do Hieronima Sanguszki, gdzie został nauczycielem młodego księcia Romana. Ztąd wrócił zniechęcony do zagrody rodzinnej, którą witał wierszem „Powrót na wieś," jednym z najlepszych jego pióra.



FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Przeniósł się jednak, za sprawą Chreptowicza i Badeniego, w Grodzieńskie, otrzymawszy tam dobrą dzierżawę na lat sześć. Po tym czasie znalazł się u ks. Dominika Radziwiłła, którego został wychowawcą. Po roku, za protekcyą możnych przyjaciół otrzymawszy pięćdziesięcioletnią dzierżawę Kraśnika, osiadł w nim Karpiński, oddawszy się sprawom roli i ludu z wielką miłością. Najpiękniejsza to karta z jego życia, które dobiegło kresu w Chorowszczyźnie, po 84 latach życia, w dniu 16 Września 1825 r.

Pisywał Karpiński dużo, wierszem i prozą, z nierównem szczęściem, ale zato wszystko, co mu na myśl przyszło. Najlepszym jest jednak w pieśniach religijnych i w utworach, które ściśle gatunkowo udeterminować się nie dają.

Poetą wielkim nie był, ale był niezmiernie popularnym, zapewne dlatego, że pisał dużo o miłości, co w poezyi naszej podówczas było poniekąd nowością. Największą jednak popularność dały mu pieśni religijne. Prace jego prozą nie mają znaczenia i wymieniane są zazwyczaj dla ścisłości bibliograficznej, nie zaś dla jakichś szczególnych zalet, których napróżno byłoby w nich szukać. Co się zaś tyczy jego utworów poetycznych, zdaje się, że w czasach największego ich rozpowszechnienia słynnemi były dlatego, że dźwięczały echem uczucia i serdeczności. Uczucie wprawdzie bywało najczęściej nieszczere, serdeczność czułostkowa, ale oboje było nowością, która się podobała... nawet później Mickiewiczowi.

Bardzo surowo osądził Karpińskiego Julian Bartoszewicz, który odmawia mu nietylko zalet pióra, ale i charakteru. Zdaje się jednak, że był to tylko człowiek słaby, dużo o sobie rozumiejący, chciwy, zarówno mienia, jak sławy, ale z natury niezły, serdeczny i dla bliźnich wylany. Popsuli go ludzie pochlebstwami, popsuło go wejście na wielki świat, do którego stworzony nie był, a zapewne i niepowodzenia wówczas, gdy się powodziło innym, mniej talentu i zasługi mającym.

Ani treścią, ani formą Karpiński wysoko nie sięgnął. Jego sielanki są sztucznem malowidłem fałszywych uczuć, nienaturalnych a sztucznych uniesień; jego proza jest szkaradna ze względu na język; jego utwory sceniczne są próbami bez żadnej wartości. Zalet Karpińskiego szukać trzeba w kilku zaledwie utworach, a i te, nierówne, nieobmyślane, całością bez zarzutu nie bronią się przeciw krytyce najwzględniejszej.

Niestety—nawet jego „Powrót na wieś,” choć napisany z większym artyzmem niż inne rzeczy, grzeszy wyrażonemi w nim pojęciami, które nieprzyjaźnie zwracają się przeciw samemu poecie. Widać z nich, że Karpińskiego myśli błąkały się nizko przy ziemi, nie znajdując innego celu w pracy poetyckiej, jeno ten, któryby się materyalnie opłacał. Nie żali się pan Franciszek, iż mu trzymanie się klamki pańskiej zaparciem godności osobistej opłacać kazano, ale że nic za to nie dostał i ubogim wraca pod dach rodzinny, jak nim był ongi.

Nuta miłości, choć niekoniecznie szczera, nową dla narodu była, słuchał jej tedy ochoczo, nie sądząc, ani ważąc—nie wiedząc, że jest jeno oddźwiękiem pieśni, które już gdzieindziej przebrzmiały oddawna. Nie zapominajmy też, że religijność Karpińskiego z jego utworów silnie przemawiała do serc prostych, oburzonych na farmazonią i wolteryanizm.

Uznanie w stosunku do pieśni religijnych dawało poecie owę popularność, dzisiaj dziwną, czyniącą zeń wieszcza wtedy, gdy śpiewał o „Laurze i Filonie" długo, nudnie, ckliwie i... bardzo fałszywie. Śpiewano o nich potem w całym kraju, śpiewa się tu i owdzie i dzisiaj, jeśli nie we dworach, to w oficynach i garderobach; ale hymny i pieśni religijne brzmią jeszcze wciąż z tą samą siłą, jak za życia Karpińskiego, jedyne niespożyte dźwięki jego ubożuchnej lutni.

Spuścizna poetycka pana Franciszka skurczyła się bardzo i kurczy ciągle, bądźcobądź jednak na swój czas był on cyfrą, z którą dzieje literatury i dzisiaj liczyć się muszą. Schodząc z piedestału, na którym go współcześni postawili, nie jest już Karpiński tym serdecznym „śpiewakiem Justyny," jakim był niegdyś, nie jest pełnym prawdy i uczucia sielankarzem, ani bardem, nucącym wspaniałe ody dziejowe... Zmalał bardzo i zeszczupłał. Sądzę jednak że przyjdzie czas, w którym potomność policzy się z nim skrupulatnie i, oddzieliwszy złote ziarnka od plew, w których się kryją, dla garstki czystego plonu da mu należne stanowisko w literaturze.

Dzisiaj rachunku tego jeszcze nie dokonano. A przecież wielka popularność Karpińskiego musiała mieć swą rzeczywistą przyczynę...

Kto pana Franciszka dobrze chce poznać, niechaj go szuka we własnych jego utworach. Wydania ich wyszły w Warszawie (staraniem Franciszka Dmochowskiego) w roku 1806, drugie, także dokonane w Warszawie, stereotypowe, w roku 1830, trzecie we Wrocławiu w roku 1826, czwarte zaś w Lipsku 1835 roku. Jędrzej Moraczewski wydał „Pamiętnik" Karpińskiego, obejmujący lata 1791 do 1822, wraz z historyą życia autora.

St. M. Rzętkowski

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

Na drugi dzień pan Michał udał się do wekslarza i zmienił kilka listów zastawnych na gotowiznę. Było mu trochę przykro rozstawać się z owemi baraniemi skórkami, do których posiadania doszedł przez długoletnią oszczędność, pocieszał się wszelako przekonaniem, że wkładając kapitał w dobra ziemskie, nie popełnia marnotrawstwa, lecz, przeciwnie, lokuje pieniądze dobrze i może liczyć na umiarkowany ale pewny procent.

Załatwiwszy się u wekslarza, puścił się na poszukiwanie powoziku, a szukał takiego, któryby był trochę używany, ale mocny, elegancki i tani. Chodził od fabryki do fabryki i z podziwienia wyjść nie mógł, ile żądają za marne cztery koła i pudło! Dowiedział się zarazem, jaka jest cena porządnych zaprzęgów i liberyi, co utwierdziło go w przekonaniu, że powoźnicy i rymarze trudnią się głównie obdzieraniem obywateli ze skóry.

Rymarz z najuprzejmiejszym uśmiechem zaśpiewał za chomonta kilkadziesiąt rubli i jeszcze namawiał na kupno siodła.

— Przyda się zawsze na wsi, panie dobrodzieju — mówił, — a mam bardzo dobre, leciutkie, zgrabne, konia nigdy nie odparzy, niech pan dobrodziej raczy tylko spojrzeć, prawdziwe świńskie siodełko...

— Jakie?!

— Najlepsze, panie dobrodzieju, ze świńskiej skóry, niezdarte.

Pan Michał w życiu swojem nigdy na koniu nie siedział, ale uśmiechnęła mu się myśl, żeby spróbować, skoro się ma swoje konie i swoje terytoryum do jeżdżenia. Zaczął się tedy pilnie przypatrywać siodłu, wydało mu się ono bardzo niepraktycznem, płaskiem, gładkiem, ślizkiem.

— Nie podoba mi się ta patelnia — rzekł. — Przytem twarde jest, jak deska.

— Angielskie, panie dobrodzieju, najwygodniejsze, ale mogę pokazać i inne; mamy węgierskie terlice, głębokie, o, widzi pan, mamy i z poduszkami.

— Aha... pokaż-no pan to z poduszką... Proszę! Czemuż takie wysokie?

— Taki system, proszę pana.

— U was wszystko system, a gdzie wygoda dla pasażera? I cóż to kosztuje taka maszyna z poduszkami?

— Z całym garniturem, z trenzlą, tylko siedmdziesiąt pięć rubli.

Pan Michał aż podskoczył.

— Panie! —zawołał,—u mnie lokator na pierwszem piętrze kwartalnie więcej za komorne nie płaci. Za co tyle pieniędzy, za trochę drzewa i skóry?

— Na Grzybowie u Żydów dostanie pan znacznie taniej, tam mają wszelką starzyznę i tandetę. Użytek będzie niewielki, ale taniość znakomita.

Na obiedzie pan Michał tego dnia w domu nie był, tyle z powoźnikami i rymarzami miał kramu. Krwi sobie napsuł dosyć, nairytował się coniemiara, ale ostatecznie powozik i zaprzęgi na wieś wyprawił. Z siodła zrezygnował, a przynajmniej kupno na później odłożył, gdyż i pieniędzy mu było żal i nie mógł sobie wyobrazić, jak człowiek przyzwoity, obywatel o pokaźnej tuszy, może się ulokować na takiej ślizkiej i gładkiej patelni, jak owo angielskie siodełko.

Większa trudność jeszcze była z kupnem koni, na szczęście znalazł się jakiś życzliwy przyjaciel, który na koniach się znał i panu Michałowi dopomógł; kupili dwa dość stare, ale zdrowe jeszcze pół perszerony, gniade, flegmatyczne, ale wypasione doskonale na słodzinach, bo przez ośm lat rozwoziły piwo po Warszawie z browaru.

Szkapy te wyglądały dość pokaźnie i pan Michał zadowolony był z kupna.

Wysłał też zaraz na wieś tapicera i stolarza, aby domek w Marysinie doprowadzili do porządku, wyprawił z Warszawy trochę mebli, kupił kilka ławek do ogrodu i z baranich skórek pozostało tylko wspomnienie.

W przeddzień wyjazdu spotkał się z kilkoma przyjaciółmi, towarzyszami pracy z różnych instytucyj filantropijnych. Byli to po większej części właściciele domów, emeryci, ludzie niezależni, z tej samej sfery co pan Michał, z takiemiż przyzwyczajeniami mieszczańskiemi czysto.

— A gdzież się, panie Michale, kryjesz? gdzie się podziewasz? — zawołał jeden z nich, otyły, siwy jegomość, — myśleliśmy żeś broń Boże gdzieś przepadł. Od dwóch tygodni oko cię ludzkie nie widzi.

— Ani na sesyi — odezwał się drugi, — ani na flakach.

— Ani na preferansie.

— Ani nigdzie. Jak ty żyjesz, panie Michale, co się z tobą dzieje? Najważniejsze sprawy opuszczasz.

— Moi drodzy, jest rzecz poważna — odpowiedział pan Michał; — właśnie do was szedłem, bo wytłómaczyć się muszę, ale nie na ulicy. Wstąpimy na buteleczkę, pogawędzimy, wszystko opowiem i pożegnam się z wami.

— Wyjeżdżasz?

— Tak.

— Jakto? z Warszawy?

— Ano tak... z Warszawy.

— Cóż znowuż, tak nagle, niespodzianie! Dokądże u licha, do Ameryki?

— Gorzej jeszcze, moi kochani.

Zasiedli przy stole w winiarni, pan Michał kazał podać gąsiorek zieleniaczku i całą historyą nabycia dóbr ziemskich opowiedział. Ludziom tym, przyzwyczajonym do systematycznego, jednakowego zawsze trybu życia, postanowienie pana Michała wydało się czemś nadzwyczajnem. Najbardziej zdumiewał się pan Salezy i zarazem ubolewał nad swoim przyjacielem.

— Człowieku — mówił, — czyś ty się zastanowił nad tem co czynisz, czy pomyślałeś na co się narażasz?

— Ha, trudno, ratowałem sumę.

— Zapewne, ale czy ty wiesz co jest wieś? Ani porządnego handlu, ani teatru, ani partyjki, ani znajomego, w nocy ciemno jak w grobie i psy wyją, ledwie świt koguty nad samem uchem wrzeszczą. Dobry jest kogut, ja sam bardzo go lubię na pieczyste, ale żeby mi się miał drzeć nad głową wtenczas, kiedy zasypiam... kłaniam uniżenie! Byłem ja raz na wsi, będzie temu lat ośmnaście. Wyobraźcie sobie, kuzyn mój, który ma majątek w Lubelskiem, zaprosił mnie do siebie. Dla ciekawości pojechałem. Pierwszego dnia, akurat niedziela to była i dzień bardzo pogodny. Dali obiad niezły, nawet bardzo dobry, po obiedzie wyszliśmy trochę na spacer, nad wieczorem przyjechał jeden sąsiad, przyjechał proboszcz, zrobiliśmy pulkę, niedrogo, bardzo pięknie, dzień przeszedł jako tako... ale noc! niech jej nie znam. Psy wyją, ledwie oczy zamykam, kogut pieje, ledwie usnąłem nadobre, słyszę wrzask taki, że sądziłem iż pożar wybuchnął.

— Cóż to było?

— A zwyczajna rzecz. Szanowny kuzynek siedział na ganku i prowadził dyskurs z ekonomem, który stał przed stodołą, w odległości... jakby wam to powiedzieć, w odległości takiej, jak od Kopernika do Zygmunta. Gawędzili sobie w najlepsze, tak jak ja z wami w tej chwili, a mnie głowa puchła jak karmelicka bania. W dodatku od samego rana chlapał deszcz. Przed domem porobiły się kałuże, ani krokiem z domu nie można było się ruszyć. Sąsiad i ksiądz nie przyjechali, partyjki nie było, o jakiejś uczciwej knajpeczce, bilardzie, ma się rozumieć, ani mowy. Kufelek piwa był niedoścignionem marzeniem. Mają wprawdzie butelkowe, ale, powiadam wam, lura. Drugi dzień taki sam, trzeci rodzony brat drugiego, już mi i broda zarosła. Pytam czy tu jest fryzyer? Śmieją się: tu się każdy sam goli, powiadają, a wszystkich golą Żydzi. A niech was! żebym sobie jeszcze dla wątpliwych przyjemności wiejskich miał kaleczyć brodę tępą brzytwą mego kuzyna! Niedoczekanie! Poprosiłem o konie i odjechałem napowrót do Warszawy. Tak, tak, drogi panie Michale, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, mówi przysłowie, a ja powiadam: wszędzie dobrze, w domu lepiej, a w Warszawie najlepiej i pojęcia nie masz, jak cię żałuję.

— Ależ ja do was wrócę, bynajmniej nie mam zamiaru na całe życie ze wsią się wiązać, ogłoszę że mam folwark do sprzedania i sprzedam, a że lato w Marysinie przepędzę, to rzecz zwyczajna; corok wynajmuję mieszkanie letnie w Jabłonnie albo w Otwocku, ma się rozumieć dla zdrowia żony i córki...

— To prawda, ale sam w Warszawie pozostajesz i tylko cosobota wyjeżdżasz, nigdy w lecie nie opuszczasz sesyi ani towarzystwa dobrych przyjaciół, a jeżeli nie możesz się stawić na partyjkę do Warszawy, to nas do siebie zapraszasz.

— A czy sądzicie, że teraz was zapraszać nie będę? Owszem, zapraszam, stokrotnie zapraszam, tem chętniej, że pod własny dach, na wieś. Jakże to nas po łacinie uczono? „*Rura paterna.*"

— Aha — rzekł pan Salezy, — masz słuszność, *rura paterna, lura bavariensis, obscura lura.*

— O za pozwoleniem, kochani przyjaciele, antałek wprost z Warszawy będzie, postoi na lodzie i będziecie mieli to samo co tu, z tą różnicą, że na werandzie, na świeżem powietrzu, księżyc będzie wam przyświecał, gwiazdki będą mrugały.

— Pan Michał jest poeta!

— Pan Michał jest ryzykant!

— Odważny, dalibóg odważny — zakonkludował pan Salezy, — już jabym nie ryzykował, choćby mi dawali darmo tyle włók, ile mam włosów na głowie.

Jeden z towarzyszów uśmiechnął się złośliwie.

— Nie zrobiłbyś karyery, panie Salezy — rzekł.

— A to dlaczego?

— Przy takiej łysinie.

— Podchwytujesz pan za słówka, mówi się bo się mówi, obrazowo, a pan bierzesz to literalnie. Sam nieraz powiadasz, żeś na rachunkowości zęby zjadł... a przecież ich nie zjadłeś, tylko ci się popsuły, i wiem który dentysta ci je reparował.

— Panowie — rzekł pan Michał, — dajcie pokój, schodzimy niepotrzebnie na grunt osobistych przymówek.

— Bo ja nie lubię jak kto opowiada o łysinie. Podoba mi się nie mieć włosów, to nie mam, ale zęby mam i sztucznych sobie nie przyprawiam.

— Panowie, jeżeli mnie kochacie—zawołał rozczulony pan Michał, — żegnam was dzisiaj, opuszczam was jutro, gąsiorek się kończy, kto wie czy się jeszcze kiedy na tym padole płaczu spotkamy, więc... co tam próżno głowę zawracać... byliśmy przyjaciółmi, będziemy przyjaciółmi, więc w ręce pana Salezego: „kochajmy się!"

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KRONIKA
działalności kobiecej.

Skromna liczba naszych zakładów wychowawczych, dających fachowe wykształcenie kobietom, pomnaża się równocześnie o dwie ważne szkoły. Jednej z nich poświęcił „Tygodnik" wzmiankę, którą tu sprostować i uzupełnić chcemy. Pierwsza szkoła dentystyczna warszawska nie ma być, lecz jest już otworzona przy Krakowskiem-Przedmieściu, numer 9, przyczem jednak zapis nowych uczennic do końca b. m. uskuteczniany jeszcze będzie. Warunki przyjęcia — według leżącego przed nami programu — są dosyć łatwe. Należy tylko obok prośby do zarządu i zwykle w takich razach wymaganych dokumentów, jak metryka, etc., mieć lat siedmnaście skończonych, złożyć opłatę za pierwsze półrocze w kwocie 75 rs. i przedstawić świadectwo z ukończenia sześciu klas średniego zakładu naukowego (za „średni zakład naukowy" uważa się tu tylko gimnazyum rządowe). Zapisało się ich dotąd kobiet 30 (mężczyzn 38). Wykłady obejmą w przeciągu pięciu semestrów fizykę, chemią, anatomią opisową, naukę leczenia zębów, fizyologią, histologią, specyalną anatomią zębów, farmakologią, recepturę, patologią, terapią dziąseł i zębów oraz specyalną chirurgią podniebienia i krtani. Słuchaczki, korzystając z wykładu profesorów uniwersytetu i znanych specyalistów, jak doktorzy Heryng, Kobyliński, Nawrocki i inni, otrzymywać będą, po pomyślnem ukończeniu studyów, stopień lekarek-dentystek.

Sądzimy, iż wobec słynnie słabych zębów, jakiemi się pokolenie obecne odznacza, dentystki nie będą bynajmniej wchodziły w drogę mękkim swym kolegom, znajdując wśród kobiet i dzieci aż nazbyt wiele zajęcia. Jeżeli zaś, wskutek konkurencyi, obniżą się ceny i, po kilku latach, nietrzeba już będzie płacić, jak dziś, u lepszych dentystów, ceny stosunkowo bardzo wygórowanej za proste zaplombowanie zęba, to fakt ten udostępni tylko pomoc dentystyki dla klas uboższych, prawdziwy wszystkim przynosząc pożytek.

Drugim, wspomnianym powyżej, zakładem wychowawczym ma być szkoła bon, którą, natychmiast po otrzymaniu stosownego pozwolenia rządowego, mają otworzyć pp. Aniela Knapczyńska i Stanisława Wojciechowska.

Przyjmując dziewczęta z elementarnemi już wiadomościami naukowemi, zakład będzie je kształcił, w kursie dwuletnim, na niższe nauczycielki, przygotowane gruntownie do kierowania dziećmi w wieku od lat 3 do 10.

Wobec znanego u nas braku sumiennych wychowawczyń w niższym zakresie, wobec manii sprowadzania bon zagranicznych, które, rekrutując się często z szumowin paryzkiego społeczeństwa, wnoszą, wzamian za chleb i gościnę, tchnienie zepsucia tylko do czystej atmosfery naszych ognisk rodzinnych, szkoła bon powinna znaleźć u rozumnych jednostek gorący oklask i poparcie.

Obok tworzenia zakładów, kształcących umysł, zaczynamy kierować stopniowo uwagę swoję i na praktyczniejsze pola. Oto „Kuryer warszawski" donosi, iż druga już zkolei Warszawianka wyjechała w tych czasach do Szwecyi, wcelu zbadania dokładnego tamtejszych szkół gimnastycznych. Panie te, w imię zasady „zdrowa dusza w zdrowem ciele," chcą otworzyć następnie w rodzinnem mieście wzorowe zakłady gimnastyczne dla kobiet i dzieci. W tym celu, oprócz samoistnej 8-io miesięcznej nauki, projektują przywiezienie jeszcze ze Sztokholmu fachowych instruktorek w pomienionym zawodzie.

Nie przecząc iż w mieście, liczącem blizko półmiliona mieszkańców, może się utrzymać kilka zakładów gimnastycznych, rozwijających zdrowie i siły w naszych dziewczętach, przypominamy jednak, iż pierwszy instytut leczniczy tego rodzaju (oprócz lekarskich) otworzyła w tym roku właśnie pani Korycińska, przełożona znanej szkoły rzemiosł dla kobiet.

Druga nasza szkoła rzemiosł, prowadzona pod wytrawnem kierownictwem pani Tokarzewskiej, wysyła wyroby swe i uczennice do gubernij cesarstwa. Obok mebli w stylu Ludwika XIV, obstalowanych do Moskwy, wychowanka szkoły tej, p. Zofia Jankowska, wyjechała, po ukończeniu kursu haftów i modniarstwa, do Rostowa nad Donem, by założyć tam większą wyrobów swych pracownią.

Jak widzimy zatem, poziom fachowych wiadomości naszych kobiet i liczba jednostek samodzielnie pracujących wzrasta, zwolna wprawdzie, lecz bezustannie. Obok mrówczej, wyrobniczej nieledwie, lecz samoistnej pracy, zabezpieczającej dach i chleb, a więc przyszłość uczciwą, przychodzi nam zanotować pojedyncze tryumfy naukowe. Do tryumfów takich należy na przykład świetna obrona rozprawy przez Lubliniankę, p. Różę Kolberg, która otrzymała świeżo na uniwersytecie berneńskim stopień doktorki medycyny.

By nie tonąć we wrodzonym nam optymiźmie, opuszczam wąziutki strumyk naszej niewieściej działalności, by rzucić jeszcze okiem na szumiącą, a ztąd zbyt hałaśliwą nieraz kaskadę zagranicznego postępu.

Gwałtowna emancypacyjna propaganda francuzka wywiera—rzecz dziwna— wpływ najsilniejszy na kobiety niemieckie, na ich ogniska domowe, tak silnie tradycyami strzeżone, iż zdawało się, że żaden prąd żywszy nigdy do nich nie dojdzie.

A jednak prąd ten doszedł, wstrząsając nagle do głębi flegmatycznemi duszami cór germańskich. I oto zarówno słodkie Gretchen, jak sentymentalne Dorothee, wniosły równocześnie do wszystkich państw Rzeszy podania, żądające: 1-o założenia gymnazyów dla kobiet, 2-o dopuszczenia ich do egzaminu dojrzałości i studyów uniwersyteckich, 3-o otworzenia przed dyplomowanemi karyer państwowych i naukowych, 4-o wreszcie zrównania praw politycznych.

O petycyach tych wspominaliśmy już poprzednio. Obecnie jednak leży przed nami stenograficzne sprawozdanie z rozprawnad żądaniami temi w Izbie poselskiej parlamentu austryackiego i w *Landtagu* weimarskim. Tu, jak tam, podanie spotkało się z odmowną odpowiedzią.

W Bolonii powstało świeżo stowarzyszenie biorące za cel *poprawę warunków umysłowych, moralnych i prawnych w życiu kobiety.* Będzie ono usiłowało zapewnić jej wykształcenie głębsze, racyonalne, dzięki któremu zdolną byłaby do wywierania zbawiennego wpływu na dzieci swe i ognisko rodzinne. Wykształcenie to, zastosowane ściśle do charakteru i właściwości umysłu niewiasty, powinno ułatwić jej walkę z codziennemi warunkami życia, oraz zapewnić wszelkie prawa i całą godność człowieczą."

„W liczbie tych praw winna — według słów odezwy — być uznaną przedewszystkiem swoboda wolnego działania kobiety, we wszelkich okolicznościach życia publicznego i prywatnego, bez ograniczeń, narzucających jej dziś opiekę i czyniących z niej, gwoli interesom płci silniejszej, wieczne dziecko wobec ustaw państwowych."

Komitet w imię wpływu na rodzinę, w imię uszlachetnienia synów, którzy w najmłodszem pokoleniu coraz więcej zwierzęcych okazują instynktów, żąda by tam, gdzie ojcowie coraz się bardziej usuwają od wpływu na rodzinę, podniesiono godność matek, by warunki umysłowe, moralne i prawne czyniły z nich nie rodzicielki tylko, lecz głowy i naczelniczki ogniska domowego.

Na odezwie włoskiego komitetu, na statutach świeżo utworzonego towarzystwa widnieją, obok dwóch imion kobiecych, trzy nazwiska męzkie. Słowa takie przez mężczyzn kreślone to chyba wymowne znamię czasu, dowód wystarczający, iż zmateryalizowanie i zezwierzęcenie ostatniej literackiej epoki, odbiwszy się smutnie w życiu, każe tęsknić ludzkości za tchnieniem zdrowszych i czystszych uczuć.

Tem tchnieniem, tą siłą moralną ma być wpływ kobiety uczciwej i rozumnej, a celów swych świadomej.

Po sztandar taki, warto zaiste z dumą sięgnąć, podtrzymując go kosztem życia nawet!

Anatol Krzyżanowski.



XII.

Żyjemy obecnie wcale nie na żarty w czasach słonecznych.

Mówię to jednak w odniesieniu do sztuki, bo lato ubiegłe poskąpiło nam promieni słońca i dopiero w ostatnich czasach niezwykłej piękności pogoda wynagradzać się stara niedobory poprzednie.

Ponieważ w ogólności w ostatnich dziesięciu latach meteorologowie statystycznie wykazują zmniejszanie się stopniowe dni słonecznych, przeto najwidoczniej sztuki piękne wynagradzać się starają te braki, powodowane — jak utrzymują niektórzy astronomowie, — chorobą słońca.

I oto malarstwo stanęło pierwsze do apelu w tej kompensacie, a za niem poszła literatura i wreszcie ostatniemi czasy muzyka.

Mamy tedy obrazy *plain air*, mamy nowele „malowane w słońcu," mamy nakoniec na scenie namiętności gorące, jak lawa Etny, sytuacye dramatycznie jaskrawe, mamy instrumentacyą dość krzykliwą, czyli, jednem słowem, mamy... „Rycerskość wieśniaczą."

Istotnie, trzeba było takiego południowca, jakim jest młody kompozytor Piotr Mascagni, aby do realistycznego obrazka Vergi dodać ilustracyą muzyczną, zdolną poruszyć świat cały.

A zrobił on to środkami nader taniemi, nie wysilał się na żadne mądrości, nawet nie wszędzie i nie zawsze zdobył się na melodyą popularną. Czuł tylko żywo, zapalił się do odmalowania szczerze uczuć ludu sycylijskiego, niepohamowanego zarówno w miłości, jak w nienawiści.

Bo przecie Santuzza, dziewczyna wiejska, oddawszy swe serce i... cześć wioskowemu Don Juanowi, imieniem Turridu, a zdradę jego spostrzegłszy, nie waha się przyjacielowi jego Alfio wydać tajemnicę, tyczącą się schadzek przeniewiercy z żoną tamtego.

Alfio nie żartuje: wyzywa swego przeciwnika do walki na noże i zabija go, wbrew przyjętej zasadzie w powieściach francuzkich i niektórych innych, gdzie zwykle mąż zdradzony dostaje w upominku kulkę w bok, albo pchnięcie szpadą, jako słuszne napomnienie za to, iż nie umiał upilnować swej połowicy.

Santuzza więc z miłości przeszła w nienawiść, bo wiedziała o następstwach swego kroku. Nie mając odwagi sama zabić uwodziciela, wolała wyręczyć się kimś innym, czego jednakże zdaje się wkońcu żałować.

Oto cała treść dramatu Vergi, przerobionego przez samego autora z nowelki, a przez innych znów „poetów" wykrojonego na libretto.

W tej ostatniej formie dramat najlepiej się przedstawia, bo zbyt jaskrawe kolizye łagodnieją nieco w połączeniu z muzyką, a raczej bardziej prawdopodobnemi się stają.

Mimo to jednak, gorączkowość tej opery jest czasem zbyt rażąca. Mascagni, sam młody i namiętny, barw żywych nie żałował, dlatego, więc uniesiony temperamentem i niedoświadczony, przeholował nieco.

Mam tu na myśli głównie część zewnętrzną, to jest instrumentacyą, bardzo nieraz krzykliwą, a nie posiadającą *siły*. Zabawnie to wygląda, gdy się na przykład słyszy puzony tak niefortunnie użyte.

Kompozytor każe im grać szybkie figury, dobre dla instrumentów smyczkowych. Zdawało mi się, że widzę słonia tańczącego polkę.

Takich miejsc jest w partycyi tej opery spora ilość. Napotyka się w niej hałas, zpowodu niewłaściwości w użyciu instrumentów dętych, a w innych znów miejscach niepodobna nie spostrzedz próżni i luk, z łaski niewprowadzenia instrumentów, które wypełniają sam środek orkiestry.

Do takich ustępów niedostatecznie brzmiących należy introdukcya, oraz owo ulubione Intermezzo, w którem całe wrażenie zasadza się na graniu melodyi w oktawach przez skrzypce i wiolonczelle. Inne instrumenta próżnują, lub prawie żadnej roli nie mają, a organ za sceną brzmi zbyt słabo.

W tem Intermezzo wszystko tedy opiera się na owej melodyi, bardzo jasnej, bardzo włoskiej i bardzo namiętnej, a w dodatku umieszczonej w doskonałem miejscu, bo po burzliwości pełnych scenach między Turridu i Santuzzą, a potem między tą ostatnią i Alfiem.

Przyczyna powodzenia „Rycerskości wieśniaczej," i to powodzenia tak niezwykłego i powszechnego, jest bardzo jasna.

Włochy nie mają obecnie... nic. Verdi starzeje się i rzadko daje znak życia, a powodzenie innych jest problematyczne. Wśród posuchy ogólnej, zjawienie się dzieła tchnącego świeżością, niebanalnego w toku melodyjnym i względnie nawet misternie opracowanego, musiało zrobić ogromne wrażenie w narodzie, tak dumnym ze swej hegemonii na polu operowem. Mascagni ratował honor muzyki włoskiej, więc go słusznie przyjęto z iście południowym zapałem, no i... przeceniono.

Przedostanie się tej opery do Niemiec i jej tamtejsze powodzenie jest również zrozumiałem.

Publiczność germańska jest zmęczona kierunkiem muzyki przyszłości. Idea Wagnera nie utrzymuje się w ogólności, zaledwie bowiem w szczegółach daje się uwzględnić. Wbrew zdaniom zaciekłych wagnerzystów, powszechnem jest mniemanie, że w muzyce proroka z Bayreuth melodya jest uboga, lub nieobecnością świeci.

Następcy Wagnera, trzymając się zasad mistrza, tworzyć poczęli takie dramaty muzyczne, o jakich

się nawet samemu prorokowi nie śniło. Napotkali więc, mimo poparcia pewnej części prasy, opór publiczności i poprzepadali z kretesem.

Reakcya wystąpiła tak silnie, że zaszczycano względami opery niewielkiej wartości, jak „Trębacz z Säckingen" Nesslera, bo w niej usłyszano jakie takie melodye. Być może, iż powodzenie tylu mizernych operetek w tym prądzie reakcyjnym źródło swoje znajduje.

Jeżeli więc była posucha we Włoszech, to nie brakowało jej również i w Niemczech. Pojawienie się tedy „Rycerskości wieśniaczej" na wychudzonych repertuarach scen niemieckich przypadło niezmiernie w porę. Pełne szczerości frazy muzyczne, jako też kilka melodyi (Siciliana, Intermezzo) trafiły do przekonania publiczności niemieckiej i zyskały powodzenie, udzielające się, naturalnym rzeczy porządkiem, coraz dalej i szerzej.

I my także od dawnego czasu pozbawieni byliśmy nowości tego rodzaju. Opery Wagnera nie przypadły nam do smaku, a taki „Noe" Halevy'ego lub „Manon" Masseneta chorowały na anemią, więc długo nie mogły żyć na scenie. Publiczność warszawska od wielu lat stale obdarza szczególnemi względami muzykę włoską. Wszak u nas w salach najczęściej spotkać się można z romansami ...sti'ego, Denza, Campany i t. d...

Opera więc włoska, sławna już w świecie, musiała być i u nas przyjęta z zapałem, a że nie mogliśmy zostać wtyle poza innymi, więc bisujemy Intermezzo, bo je bisują wszędzie.

Wobec tego sukcesu, który zresztą dla sceny warszawskiej jest nader pomyślnym wypadkiem, zdanie swoje o operze Mascagni'ego uważam za rzecz mało znaczącą, tem bardziej, że słysząc „Rycerskość" razy kilka i to nietylko w Warszawie, prócz tego wystudyowawszy ją przedtem przy fortepianie, mimowoli chłodniej już się rozpatrywać muszę, niż to przeciętny słuchacz robi.

Mam zwyczaj w nowem dziele doszukiwać się przedewszystkiem cech samoistności i z jej objawów dopiero sąd wydawać. Jest to właśnie wprost przeciwne postępowaniu publiczności, bo ona zwraca uwagę wyłącznie prawie na rzeczy łatwo wpadające w ucho, a więc z natury swej mniej lub więcej znane.

Za dowód służyć może chór pierwszy, przechodzący bez wrażenia i oklasku, a jednak stanowczo z całej opery najlepszy i o wielkim talencie kompozytora świadczący.

Nietylko bowiem motyw jego sielski odznacza się samoistnością, lecz także i pomysł połączenia trzech tematów: orkiestry, chóru kobiecego i męzkiego, jest wysoce muzykalnym.

Zato modlitwa, mimo szerokości, nie przekracza szablonu operowego i zwykłej dekoracyjności.

Duet Santuzzy z Łucyą jest raczej opowiadaniem pierwszej o ...ości swej nieszczęśliwej. Odznacza się uczuciem i należy do najlepszych numerów partycyi.

Scena między Santuzzą i Turridu porywa słuchacza jedynie przez swą dramatyczność, bo motyw jej główny nie jest zbyt wyrazisty i oryginalny.

Taż sama silna dramatyczność, bez wydatnej melodyi, przebija się w duecie Santuzzy z Alfiem. Powiem nawet, że wściekły gniew zdradzonego męża, wraz z namiętną skargą Santuzzy, oddane są z większą jeszcze prawdą i ogniem, niż poprzednie sceny.

Do tej chwili kompozytor wytrwał na stanowisku twórcy dramatycznego. Wszystko wre i kipi, może nieco zajaskrawo, ale w każdym razie szlachetnie. Mascagni pisał tu pod wpływem Verdiego, Gounoda i Bizeta, obrał tedy sobie wzory dobre.

Lecz zato chór wychodzący z kościoła i następujące potem Brindisi nie stoją na wysokości dotychczasowej. Werwa młodzieńcza uniosła muzyka zbyt daleko i doprowadziła go do... operetki.

Melodya przy kielichu, śpiewana przez Turridu jest czysto ofenbachowska, z otoczeniem nie licująca.

Lud sycylijski w innych rytmach z pewnością śpiewa swoje piosenki przy winie.

Scena wyzwania jest, według mnie, bezbarwną i nie sprawia spodziewanego wrażenia grozy.

Orkiestra mówi tu zamało, brzmi zapusto, a w dźwiękach jej nie czuje się zapowiedzi tragicznego rozwiązania.

Ślicznem zato nazwać można pożegnanie Turridu z matką. W tem krótkiem arioso, przerywanem frazami półmówionemi, umieścił kompozytor tyle uczucia, iż niepodobna ustępu tego bez wzruszenia słuchać.

Opera kończy się nagle i krótko. Jeden wykrzyk chóru, parę akordów orkiestry i koniec! Odpowiednie to jest czasom dzisiejszym, gorączkowym i pełnym nerwowości.

Dlatego to muzykę Mascagni'ego nazwać się godzi najsłuszniej *moderne.* Jest ona dzisiejszą *par excellence* i jako taka musi przemawiać do ogółu.

Czy ma przed sobą daleką przyszłość, to rzecz inna. Mnie się zdaje, że nie. Doświadczenie uczy, że arcydzieła wiekopomne nie odrazu przyjmowała publiczność z entuzyazmem, równym temu, z jakim przyjęto „Rycerskość wieśniaczą." Z drugiej strony znów wiemy, że zapał, zpoczątku zbyt gorący, ochłodzić się musi, czasami nawet zbyt prędko.

Kto wie tedy, czy za lat dziesiątek ta pierwsza, tyle sławy dająca jej twórcy opera nie spowszednieje i nie zniknie *zupełnie* z repertuaru scen europejskich.

Prawdopodobieństwo tej przepowiedni leży w samem dziele, zbyt gorączkowem i realistycznem, a niedoświadczenie młodzieńcze zdradzającem.

Wykonanie opery pod niektóremi względami było wyborne. Nie można bez wysokiego uznania odezwać się o p. Busi, która partya Santuzzy oddała z talentem aktorskim odznaczającym. P. Suagnes w wielu razach godnie jej towarzyszył, a p. Chodakowski, zwłaszcza w duecie z Santozzą, doskonale grał i śpiewał.

Nie potrafię wszelako zamykać oczu na usterki, na wzór niektórych panów „przysięgłych" od krytyki, którzy od pewnego czasu chwalą bez ograniczeń, w sposób niewytłómaczenie skromny.

I tak np. ustępy zbiorowe nie idą z precyzyą. Wahania się rytmiczne i intonacyjne aż nadto się uwidoczniały, a przecież nie czytałem o tych niedokładnościach nigdzie, co mi daje miarę, jak się u nas kształtują stosunki muzyczno-krytyczne.

Orkiestra grała wybornie z wyjątkiem Intermezza, nieco zaszorstko traktowanego. Lecz i na to zamknięte mają oczy niektórzy recenzenci.

— Coś się zepsuło w państwie duńskiem — powiedział Hamlet. *Sapienti sat.*

Zygmunt Noskowski.

ZŁOTY WŁOS.

NOWELA

PRZEZ

KAMILA BIAS.

I.

Mała Emma uroczo wyglądała w tym porannym nieładzie. Jasne włosy rozrzuciły jej się na czole i szyi, uśmiech szczęśliwej kobietki osiadł na ustach, ładne okrągłe ramię wychylało się do łokcia z muślinowego szlafroczka, gdy wesołe wysyłała przez okno całusy.

Całusy? I komuż to?

Mężowi swemu naturalnie! Temu panu, co z taką powagą prawdziwą, lub może przybraną, spuszcza się wdół ulicy Taitbout, przy której mieszka z żonką.

Przed dwoma laty pobrali się z miłości. On, jako 30 letni mężczyzna, był już stateczny; ona, jak wszystkie 18 letnie dziewczęta, trochę romantyczna jeszcze, całe serce oddała mężowi, znalazłszy w nim wymarzony ideał.

Marceli Dupuis miał dorodną postawę, włosy czarne, siwe oczy bardzo łagodne, często uśmiechnięte usta ocienione ciemnym wąsikiem, cerę ciepłą i matową południowca.

Urzędując w jednem z ministeryów, codzień wychodził z domu o 9-tej rano, po czekoladzie, po wybornej czekoladzie, którą młoda gosposia sama gotowała; powracał zaś na chwilę przed obiadem, zawsze bardzo punktualnie.

Zpoczątku pilnował się tak godziny dla sprawienia przyjemności żonie, a potem czynił to machinalnie, z nałogu.

Gdy odchodził i gdy powracał, Emma zawsze stała przy oknie.

W zimie musiał ją gromić Marceli, bo przeprowadzając go wzrokiem, dostawała kataru, co szpeciło jej oczy. Potem zauważył uśmiech na ustach przechodniów i nie podobało mu się to. Emma zrzekła się więc całusów, gdy duży śnieg padał, i obiecała też nie przesyłać ich, jeśli zobaczy kogo na ulicy.

Innym razem, usłyszawszy parsknięcie śmiechem wgórze, podniósł głowę: na drugiem piętrze domu, w którym oni mieszkali, dwie trzpiotki chichotały się. Może prowadziły wesołą rozmowę? Nie, musiała je tak zabawić ta scenka małżeńska. Pewnie nie zwróciła ich uwagi, ale ponieważ przestała już czarować męża, zaczął upatrywać w niej śmieszności.

Emma przyrzekła przed każdym całusem spojrzeć na okna 2-go piętra.

Zależało jej wiele na tych pocałunkach, były dobrem wspomnieniem dla niej na cały dzień osamotnienia i zdawało jej się, że dla męża będą tajemniczą opieką, rodzajem opatrzności, tchnieniem anioła stróża, zesłanego przez miłość.

Marceli Dupuis niewątpliwie kochał żonę; na samę myśl, że mógłby ją stracić, dreszcze go przechodziły. Ale dwa lata jednostajnego szczęścia, jednostajnego życia, jednostajnych całusów, posyłanych w przestrzeń... zaczynało mu się to dłużyć! Na nieszczęście nie mieli dzieci, chociaż pragnęli ich bardzo. Gdyby im losy zesłały potomka, uczu-

cie Emmy dla męża byłoby mniej dziecinne w objawach; on zaś odbierałby codzień, wychodząc z domu i powracając, pocałunki mniej napowietrzne i świeższe.

II.

Ów ranek był jednym z tych ranków wiosennych, słonecznych, w które przyroda przemawia silnym głosem do serca, głowy i zmysłów.

Marceli szedł, jakeśmy wspomnieli, wdół ulicy i wciągał w siebie pełną piersią powietrze takie czyste, takie orzeźwiające w tej porze roku, że nawet w miastach doznaje się jego wpływu.

Emma, jak codzień, wymogła na nim obietnicę, że się obejrzy, on, jak codzień, dotrzymał obietnicy.

Tchnienia miłosne, przesunąwszy się przez ładne wysmukłe paluszki z różowemi paznogciami, pierzchły na ulicę cichą i często pustą w tym punkcie, nic nie tamowało im drogi, a jednak nie doszły do miejsca swego przeznaczenia.

Oddawna już tak było.

Mąż był tak oswojony z niemi, że straciły dlań powab wszelki, nie zatrzymując ich przeto w przelocie, pozwalał im rozwiewać się w powietrzu, które musiały napełniać wonią balsamiczną.

Onego dnia mimowoli pomyślał, że gdyby jego żona miała dziecko, sama przestałaby być tak dziecinną, i że wtedy nie potrzebowałby, dla dogodzenia jej, obracać głowy na środku ulicy, jak żak.

I ta myśl, że jego pragnienia tak naturalne może nigdy się nie urzeczywistnią, wprowadziła go w zły humor.

Ale w tej chwili właśnie zajęła jego uwagę jedna z tych błahostek, jakie los zsyła jakby przez szyderstwo, gdy próżnujemy ciałem i umysłem: na rękawie u jego paltota rozpostarł się jakiś włos tak swobodnie, jakby na ramieniu fryzyera.

Marceli otrząsnął rękaw, ale włos trzymał się go uporczywie... Trzeba było przyłożyć doń rękę. Marceli zrozumiał, że samem tylko strząśnięciem nie poradzi sobie z takim napastnikiem. Włos okręcił się dokoła rękawa w zygzaki, kryjąc swój koniec pod mankietem, gdzie zdawał się zapuszczać korzeń.

— Zkąd on mógł się tu wziąć? — mruknął Marceli. — Jestem pewien, że nie uszedłby uwagi mojej żony.

W samej rzeczy, Emma sama doglądała ubrania jego tak, jak mu gotowała czekoladę.

Nieborak ciągnął, ciągnął, dopóki nie ujrzał korzenia włosa.

Przystanął dla dokonania tej operacyi i trzymając ostrożnie przedmiot ten pomiędzy wielkim a małym palcem, miał go już cisnąć daleko, kiedy w promieniu słonecznym, który przerywał prawie niewidzialnie, włos został przemieniony w nić złotą.

— Jakiż to śliczny włos!

Marceli przyglądał mu się chwilę, nie próbując już rzucić go niemiłosiernie do rynsztoka.

— Kobieta, do której on należy, musi być piękna — pomyślał; — przy takich włosach cera zwykle przypomina lilje i róże, a oczy obiecują niebo, którego muszą odbijać błękity.

Marceli przyglądał się włosowi z różnych stron, wydawał mu się coraz jaśniejszy w rozmaitych odblaskach, jakie mu nadawał ruch. Potem, obwinąwszy go wkoło palca, zrobił zeń pukielek.

A gdybym poszukał kobiety, która ma takie włosy? — pomyślał, — możeby mi nie przesyłała całusów, ale byłoby przyjemnie samemu gubić całusy w takim lesie, złożonym z promieni złotych.

Powiedział to sobie i wszedł tylko co na ulicę Św. Łazarza, gdy spostrzegł to cudo, że zatem wypada ograniczyć poszukiwania do ulicy Taitbout i do lewego chodnika, po którym właśnie kroczył.

Złoty włos musiał spaść z jakiego okna i uczepił się go niby nić przewodnia, zesłana przez gońca miłości.

Włożył go do pugilaresu z ponsowego safianu ze srebrnemi narożnikami, ostatniego podarka imieninowego od miluchnej Emmy, w najmniejszą kieszonkę z mory białej, nietkniętą jeszcze i pewnie przeznaczoną na najcenniejsze rzeczy.

Marceli roześmiał się sam ze swego czynu, ale pugilares wrócił na swe miejsce, a włos pozostał w niewoli.

III.

Zły humor męża rozwiał się; był on wesoły cały dzień.

Złote włosy promieniały przed nim w biurze i pod piórem swem widział zarys uroczej główki i przecudnych kształtów.

Powracając wieczorem, badał na ulicy Taitbout wszystkie domy, aż do swojego, ale milczały uporczywie; on jednak trwał w nadziei, że się dowie, zkąd pochodzi znaleziony skarb.

Kilka dni minęło, to życzenie przeszło w myśl prześladowczą.

Marceli oglądał wszystkie mieszkania do wynajęcia w całej dzielnicy, żeby zasięgnąć jakich wiadomości od gadatliwych odźwiernych. Podawał rysopis kobiety ze złotemi włosami, nikt jej nie znał. Jednakże był pewien że ona istnieje, miał dowód żywy, dotykalny, tam, na sercu, w kieszeni. Ona więc musiała mieszkać gdzieś w blizkości...

Chyba żeby... chyba... ten łącznik, z którym się nie mógł już rozstać, oderwał się od jakiej kobiety przechodzącej przypadkiem, żeby przejść do niego...

Zrobił się taki kwaśny, taki zły, że aż zaniepokoiło to żonę, która ze swej strony gubiła się w domysłach, co opanowało Marcelego.

Gdy stan taki ciągnął się już cały tydzień, biedna Emma zaczęła rozpaczać.

— On mnie już nie kocha! — mówiła wśród łkań, skoro tylko pozostała sama.

Zapomniała nawet o wysyłaniu całusów i uśmiech szczęśliwego dziecka znikł z jej ust.

— Co się stało mojej żonie? — zaczął pytać siebie mąż.

Brakowało mu owych nudnych i śmiesznych całusów, a zbyt częste uśmiechy zdawały mu się znośniejsze, aniżeli dąsy, chociaż były przecież nowością.

Przyszło do tego, że uskarżał się na tę zmianę.

— Czyżby moja żona kochała innego?...

Ta myśl usunęła na dalszy plan nieznajomą złotowłosą.

Jeśli Marceli wspominał ją sobie jeszcze czasami, to tylko w nadziei, że się zemści przy pomocy jej pięknego włosa. Podobało mu się teraz prawo odwetu i jego dewiza barbarzyńska: *oko za oko, ząb za ząb!* Jeśli odnajdzie kiedy właścicielkę włosa, to odpłaci Emmie zdradą za zdradę!

To miłe dotąd małżeństwo schodziło teraz coraz bardziej na manowce; przy ich wesołem niegdyś ognisku domowem rozgościły się podejrzenia, smutna niewiara, co tylko jest najgorszego w miłości.

I wszystko to zpowodu włosa, co spadł z jakiegoś piętra, z pierwszego lepszego domu, bo że nie z nieba, to pewna!

IV.

Pewnego wieczoru Marceli wrócił w gorszym jeszcze humorze, niż zazwyczaj.

Nagle, gdy przechodził przez przedpokój, zaleciały go zapachy pieczystego, karmelu i piekącego się ciasta... Podobało mu się to.

— Czyżby moja żona spodziewała się gości? — zapytał siebie. — Wolałbym to już, aniżeli te miny zadąsane, na jakie muszę patrzeć od kilku dni.

Żona oczekiwała go w ślicznym szlafroczku muślinowym, haftowanym na spodzie z materyi popielatej, w perłach na szyi i na rękach, drogiej pamiątce, a co lepsza, z dawnym uśmiechem na ustach, z lubym wyrazem tkliwości w spojrzeniu.

Leżąc na szezlongu, wyciągała do niego ładne ramiona, gotowe do uścisku.

— Cóż się tu dzieje?

— Dwa szczęścia dziś! — zawołała.

I mimowoli zarumieniła się trochę.

Mąż wpatrzył się w nią.

Wtedy pochylona na jego ramieniu, szepnęła mu do ucha:

— Będziemy mieli dziecię...

Marceli nie dał jej mówić, porwał ją w objęcia i ściskał, szalejąc z radości.

— A drugie szczęście? — zapytał.

— Drugie szczęście to to, żem pewna teraz, że mnie kochasz.

— O tak!...

— Przekonałam się o tem dowodnie, podczas twej nieobecności.

Mąż nic a nic nie rozumiał.

— Zapomniałeś swego pugilaresu?

— Może być.

— Jam go przetrząsnęła...

— No i cóż?

— W tej ładnej kieszonce białej chowasz starannie... to...

Rozwinęła pukielek, pierwszą przzczynę ich zmartwienia.

— A tylko człowiek zakochany może się dopuścić takiego szaleństwa — ciągnęła dalej wesoło.

Marceli osłupiał... Czyż nigdy nie spojrzał na włosy żony swojej?... Owszem, ale dawno już temu, i od owego dnia nigdy ich nie widział... przy słońcu.

Z. G.

WYKSZTAŁCENIE KOBIET.

Szkoły męzko-żeńskie w Finlandyi.

Wśród kwestyj spornych, zajmujących żywo schyłek naszego wieku, wykształcenie niewieście do najżywotniejszych należy. Podczas też, gdy z jednej strony rutyna walczy z nowszemi prądami, zamykając przed chciwą wiedzy dziewczyną patentowane przybytki nauki, z drugiej ludzie dobrej woli, chcąc ułatwić jej zdobycie gruntownego wykształcenia, nie cofają się przed próbami, które za czasów naszych prababek ogólne wywołałyby zdumienie.

Do takich doświadczeń nowomodnych, liczących na umoralnienie natury ludzkiej i uszlachetniający wpływ nauki, należą zaprowadzone niedawno wFinlandyi szkoły mieszane dla chłopców i dziewcząt wszelkiego wieku. Ponieważ system ten wywoływał liczne protesty i starcia zdań, a równocześnie żywo zaciekawiał rzeczników wyższego wykształcenia niewieściego, pozwalamy więc sobie poświęcić tu słów kilka owym, jedynym w swoim rodzaju, finlandzkim *samskolar*. Czynimy to zaś tem skwapliwiej, iż za przewodnika posłuży nam tym razem pióro niewieście.

Szczegóły bowiem o wykształceniu kobiet w ultra-postępowej Finlandyi czerpiemy ze sprawozdania profesorki, Edli Freudenthal, ogłoszonego w czasopiśmie „Die Mädchenschule."

Wymowna rzeczniczka nowych idej tłómaczy nam najpierw, iż położenie polityczne Finlandyi musiało wpłynąć z konieczności na wyodrębnienie systematu edukacyjnego, który inny, niż we wszystkich krajach, przyjął tam charakter. Ponieważ dzieci uczyły się w szkołach miejscowych równocześnie języków szwedzkiego, fińskiego, ruskiego, niemieckiego, francuzkiego, łacińskiego i greckiego, godziny przeto zajęte przez tę wieżę Babel obezwładniały wszelkie usiłowania wcelu rozwinięcia inteligencyi ich, nie pozostawiając dość czasu na wet na obowiązujące zwykle szkolne przedmioty.

Wskutek tego powstał projekt nieodzownego zreformowania gimnazyalnych wykładów, a wraz z niemi i całego systemu edukacyjnego. Na czele rady pedagogicznej stanęło równocześnie kilku ludzi, zajmujących się żywo inną, niemniej palącą kwestyą, ludzi którzy sprawie rownouprawnienia i wykształcenia niewieściego cały swój zapał poświęcili.

Uprzystępnić kobietom wstęp do uniwersytetów było tu względem pierwszej wagi. W chwili więc gdy Finlandya miała z gruntu reformować lub zakładać nowe szkoły dla chłopców, postanowiono uprzystępnienie to wprowadzić w czyn, otwierając gimnazya, w których chłopcy i dziewczęta, na równych zupełnie prawach i na jednej ławce, przysposabialiby się do wykładów uniwersyteckich i późniejszej pracy zawodowej.

W tym celu, wyjednawszy wpierw pozwolenie rządowe, zebrano zapomocą akcyj osobny fundusz na gimnazyum żeńsko-mezkie, przyjmujące zarówno chłopców, jak dziewczęta, bez żadnych ograniczeń. Ta *samskola*, którą nazwano „Zakładem wychowawczym dla chłopców i dziewcząt" (Lärovärket för gossar ochflickor), istnieje już lat ośm i jest pierwszem liceum w Finlandyi, liczącem tak znaczną ilość uczniów i uczennic.

Sam fakt też, iż w 1890 roku słuchało tu wykładów *110 chłopców i 140 dziewczyn*, w wieku od lat 8 do 18, świadczy najlepiej o ogólnej sympatyi, jaka szkołę otacza.

Nadzwyczajna ta praktyczność i postępowość w wychowaniu kobiet tłómaczy się — według autorki, — względami czysto praktycznej natury.

I w Finlandyi bowiem współzawodniczenie dziewczyn z wykształceniem, a następnie z pracą zawodową męzką znajdowało gorących przeciwników. Niekorzystne jednak finansowe warunki kraju pozwalały kobietom nie stosować się do czczych rozumowań tych ludzi, którzy... najczęściej córek w domu nie mieli.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z chwili bieżącej.

✻ **Trudność o mieszkanie.** Nieprawdopodobnym wydaje się. a jednak prawdziwym jest fakt, że ktoś w Warszawie mieszkania zupełnie znaleźć nie mógł. A tym szukającym mieszkania nie był nawet człowiek pojedynczy, prywatny, potrzebujący pomieszczenia dla swej swej własnej prywatnej osoby, ale instytucya niezaprzeczonego publicznego pożytku, instytucya dająca właścicielowi domu lepsze swej wypłacalności i punktualności gwarancye, aniżeli człowiek prywatny, instytucya wreszcie, która z natury swojej miałaby prawo do pewnych uwzględnień i ułatwień ze strony panów kamienicznych.

Tą instytucyą są „Kuchnie tanie." Mimo niefortunnego ze względów finansowych eksperymentu z kuchnią tanią przy ulicy Czerniakowskiej, przeznaczoną głównie dla ludności robotniczej tej okolicy, zarząd kuchen tanich, powodowany jedynie względami na dobro tej ludności i ożywiany nadzieją, że robotnicy nasi prędzej czy później zdołają nareszcie ocenić należycie pożytek materyalny, fizyczny i moralny, jaki im uczęszczanie do tych zakładów zapewnia, postanowił założyć jeszcze jedną podobną kuchnię w okolicy Leszna lub ulicy Chłodnej, jako również licznie przez ludność robotniczą zamieszkałych. Przez rok mniej więcej szukał odpowiedniego mieszkania, ogłaszał, dowiadywał się—i wszystko naprożno; trzeba było zaniechać zamiaru, bo nie było go gdzie urzeczywistnić.

Wobec tego wypada się zapytać, dla kogo właściwie budują się domy i urządzają mieszkania w Warszawie? Kart po domach zawsze pełno, a gdy potrzebujesz małego mieszkania, nie znajdziesz go; powiadają ci że o większe mieszkania daleko łatwiej, tylko o takie małe, jakiego tobie potrzeba, trudno. Gdy znów szukasz mieszkania większego, takiego jakiego potrzeba na przykład na kuchnię tanią, także go nie znajdziesz; wszystkie które się trafiają są zamałe.

Niema tedy mieszkań ani małych, ani dużych, muszą być więc chyba średnie.. Aha! spróbuj no tych średnich poszukiwać! Ależ bo o takie średnie, powiedzą ci, to właśnie najtrudniej; trochę większe albo trochę mniejsze znalazłbyś pan dobrodziej z łatwością, a te takie, panie, średnie... ho, ho!...

Koniec końcem, znaleźć w Warszawie mieszkanie takie, jakiego się poszukuje, to to samo, co wygrać wielki los choćby na warszawskiej klasycznej loteryi.

Na tę okoliczność zwracamy naseryo uwagę pp. budowniczych i właścicieli kamienic, mianowicie tych ostatnich, bo juści budowniczy tak buduje jak chce właściciel, a pilnuje tylko tego, żeby się to co stawia nie zwaliło, w czem mu jeszcze (mówiąc nawiasem) pan właściciel nieraz mocno bruździ.

Przepraszamy tych panów mocno, ale musimy im otwarcie powiedzieć, że w urządzaniu mieszkań w swych domach są niepraktyczni i nieradni. Mieszkania u nas powinny być tak urządzane, żeby całe piętra dały się dzielić na dowolną liczbę większych czy mniejszych mieszkań, choćby z małemi, niekosztownemi stosownie do potrzeby przeróbkami.

Tymczasem na taki rozkład całych pięter, na dogodny rozkład pojedynczych mieszkań mało kto zwraca uwagę, a już każda najmniejsza przeróbka, udogadniająca mieszkanie i przyciągająca do niego lokatora, strachem i zgrozą przejmuje właściciela.

Najlepszą do tego ilustracyą jest właśnie niemożność znalezienia odpowiedniego pomieszczenia dla kuchni taniej.

Toć jeżeli niema gotowego, odpowiedniej obszerności mieszkania, można połączyć dwa, trzy, a choćby półtora lub półtrzecia lokalu, a przeróbki dokonane dla lokatora pewnego, zawierającego kontrakt na lat kilka i zgóry półroczne komorne płacącego, opłaciłyby się zpewnością materyalnie, nie mówiąc już o wewnętrznem zadowoleniu, że się do powstania jeszcze jednego pożytecznego zakładu przyczyniło.

Tymczasem lokalu dla taniej kuchni jak niema, tak niema.

Smutno!...

✻ **O szpitalu dla obłąkanych w Tworkach** dochodzą powoli do wiadomości rozmaite szczegóły, tyczące się jego urządzenia i funkcyonowania w przyszłości. Tak na przykład wiemy już, że na ogólną liczbę 500 pacyentów, 320 znajdzie pomieszczenie bezpłatne, jak niemniej że co do liczby chorych, jaką miasto i każda gubernia będą miały prawo umieszczać bezpłatnie, przyjęto słusznie za zasadę stosunek do ilości wnoszonych przez nie opłat na utrzymanie szpitala.

Są to wiadomości bardzo pożądane i pocieszające; cóż, kiedy ta pociecha datować się właściwie może dopiero od chwili otwarcia szpitala, a to otwarcie, niestety! opóźnia się coraz bardziej.

Dwa razy daje, kto prędko daje.

G. Cz.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU.

1. Erzerum. 2. Lalka. 3. Igor. 4. Zborowscy. 5. Ameryka. 6. Orszak. 7. Rynaldo. 8. Zenon. 9. Ebro. 10. Sierp. 11. Zabobon. 12. Kraszewski. 13. Orzyc. 14. Wilk. 15. Ankona.

Eliza Orzeszkowa
Marya Konopnicka.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Wandzie w Pomianach. Cztery powieści historyczne Zoryana może szanowna pani nabyć za nadesłaniem do redakcyi rs. 1 kop. 15.

Jednej z Prenumeratorek. Informacyi żądanej udzielić nie możemy, nie znając praw obowiązujących w Szwajcaryi. Istotnie tylko w konsulacie dowiedzieć się o tem można.

Numer 44 wyszedł z druku i zawiera:

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 17 Октября 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

O UBIORACH.

Jakkolwiek Październik pogodnemi, ciepłemi dniami wynagradzał nam słotne łato, to już nie możemy dłużej się łudzić, że jesień od nas daleka, bo szybko zachodzi ona kryjąc jasne słońca promienie, a szare niebo i krótkie dni zaczynają już oddziaływać. Trzeba rozstać się z jasnemi strojnemi toaletami, a pomyśleć o cieplejszych ubiorach. W poprzednich sprawozdaniach wymieniliśmy nowe materyały, grubsze wełny gładkie, miękie piękne wigonie, lub materyały deseniowe, co prawda nie odznaczające się oryginalnością deseniu. Ale fabryki dostarczą jeszcze nowszych rzeczy na porę zimniejszą. Do kolorów modnych zaliczają się naśladujące odcienie futer: sobola, sarny, amerykańskiego zwierzątka dydelfa, bobra i t. p. Nowość między cieniami brązowemi stanowi żółtawy odcień naśladujący skórę ludzi dzikich np. syngalezów.

Forma sukien utrzymuje się ciągle dość obcisła, mały tren pozostał również w użyciu jest on mniej niedogodny od chwili odrzucenia spódnic podszewkowych. U dołu sukien modne jest obłożenie aksamitne, najmniej 10 c. szerokie, nad którem dają naszycie z wstążki kolorowej; obłożenie może być czarne lub odpowiednie do koloru sukni. Paski są bardzo w użyciu szerokie skórzane lub jedwabne, dla młodych osób zbliżają się do formy gorsecików.

Paletoty z potrójnemi pelerynkami lub kołnierzami i płaszczyki paletotowe już się sprzykrzyły, zaczynają zastępować je płaszczykami „paysanne” krótkiemi z tyłu a trochę szpiczasto przedłużonemi z przodu, z kapturkiem przysłaniającym plecy. Garnirowanie modne z trzech lub pięciu rzędów koronki *Tom Pouce* układanych w riuszę jeden nad drugim, co tworzy oryginalną całość; obłożenie z piórek małych fryzowanych jest także efektowne.

Fason kapeluszy zdaje się zmniejszać, filc więcej używany piaskowy niż szary; modne będą kapelusze filcowe lub aksamitne czarne w rodzaju Henri II.

Biżuterye okazałe rzucające się w oczy zupełnie nie są używane do ubrania spacerowego, do wyjścia na ulicę ograniczają się tylko na ozdobach fantazyjnych jak szpilki do włosów i do kapeluszy, broszki, lub breloki. Niektóre elegantki zużytkowały staroświeckie kolczyki na szpilki do kapeluszy; istotnie, że to praktyczne użycie wyszłych z mody klejnotów prababek, spoczywających w zapomnieniu na dnie szkatułki. W podobny sposób monety starożytne lub zagraniczne zamieniają na broszki, szpilki lub breloki, dodając tylko z brzegów obwódkę złotą lub srebrną. Perły są niezmiernie modne i doszły przez to do wysokiej ceny; pojedyńczy sznurek pereł na szyi młodej kobiety stanowi bardzo skromną a jednak cenną i ozdabiającą bardzo biżuteryę. W wielu domach jest zwyczaj przygotowywania dla panien od lat dziecinnych takiego naszyjnika; rodzice i krewni zamożni ofiarowują na imieniny lub na gwiazdkę pojedyńcze sztuki pereł — nim przyjdzie czas dania wyprawy, niepostrzeżenie, bez uciążliwego wydatku zbierze się całość wielkiej wartości.

Opis do N-ru 43.

(*Dokończenie*).

N. 11. Sukieneczka z vêtement dla dziecka.

Biała spodnia sukieneczka przemarszczona pod szyją i poniżej stanu; marszczki smock tworzą na staniczku plastron 18 c. szeroki, poniżej którego materyał ułożony w płaskie fałdki. Spódniczka 22 c. długa, 210 szeroka jest przemarszczona na 5 c. Vêtement z granatowego materyału naszyte białą pletnią, ma przody szeroko otwarte, zakończone ranwersami w górze; rękawy ujęte w mankiet 5 c. szeroki. Spódniczka 24 c. długa 162 c. szeroka zmarszczona w górze, łączy się szwem ze stanikiem, pasek 4 c. szeroki.

N. 16. Suknia z gorsecikiem i z baskiną.

Bluzka i spódnica są z wełny w deseń adamaszkowy gorsecik z ramiączkami i baskiną jest z ciemniejszego aksamitu; przymarszczana pod szyją i wszyta w wązki pasek bluzka zapina się wzdłuż przodu na kryte haftki. Rękawy bardzo szerokie są zmarszczone i wszyte w sztylpy sięgające do łokci. Gorsecik zapinany z tyłu ma dodaną baskinę z oddzielnego kawałka aksamitu, podszytego lekką materyą, 35 c. długą, 80 szeroką. Kokardy z wstążki 8 c. szerokiej.



N. 1 Suknia ze stanikiem z długą baskiną. Patrz ryc. 3 i fig. 11. N. 2. Suknia z potrójną baskiną. Krój i plecy N. X. N. 3. Suknia z długą baskiną. Patrz ryc. 1.

N. 17. Sukieneczka dla dziewczynki.

I dla dzieci coraz więcej wchodzą w użycie sukienki zupełnie gładkie i dłuższe, bo sięgające aż do kostek

Dodatek do N-ru 44.

Rycina 17 przedstawia białą wełnianą sukienkę 110 c. szeroką u góry zmarszczoną i wszytą w pasek. Przód stanika jest przemarszczony w bufki, na które naddaje się materyału przy krajaniu prawej połowy przodu; lewa połowa pokryta gładko zapina się na haftki i na nią zachodzą na wierzch bufki, przypięte z boku krytemi haftkami. Plecy stanika są gładkie; wykrój szyi wszyty w kołnierzyk wykładany 6 c. szeroki; rękawki przemarszczone obciśle w nagłówek 3 c. szeroki. Szarfa 20 c. szeroka wełniana lub jedwabna związana z tyłu.

N. 18. Suknia z bluzką koronkową dla młodej panienki.

Bluzka z żółtawo białego koronkowego tiulu przymarszczona pod szyją i zakończona koronką 8 c. szeroką odwiniętą zamiast kołnierza, dopełniona baskiną z oddzielnego kawałka 40 c. szerokiego 180 długiego. Spódnica z materyi jedwabnej w wązkie paseczki liczy 250 c. szerokości i niema żadnego przybrania. Wysoki pasek gorsecikowy wymaga podszewki z fiszbinami, doskonale dopasowanej do figury i zapiętej z tyłu na kryte haftki; materya wzięta skośnie fałduje się na figurze uważając aby fałdy nie psuły wcięcia; zapobiegając rozsuwaniu się fałd trzeba je przyczepić niewidocznemi ściegami.

N. 19 i 24. Paletot z kołnierzem pelerynowym.

Długi paletot z wełny w kratę, ma formę wcinaną do figury, z przodami zapiętemi na dwa rzędy guzików. Oryginalne i w świeżym guście dopełnienie stanowi szeroki kołnierz, którego wymiar i formę wskazuje ryc. 24. Zestawiwszy wszystkie części podług odpowiednich znaków i zeszywszy kołnierz trzeba u dołu wsunąć drucik między wierzch i podszewkę a następnie wygiąć kołnierz odstająco na ramionach podług ryc. 10; wykrój szyi wszyty w pasek 4 c. wysoki. Model był z jasno popielatego aksamitu na ciemniejszej jedwabnej podszewce. Kapelusz filcowy jasno popielaty z rondem wysoko wygiętem, przybrany bukietem ciemnych kwiatów.

N. 20 i 5. Suknia z przodem przyszytym nakształt falbany.

Plecy sukni jak to widać na ryc. 5 krajane są formą prinçesse w całej długości, zaś przody i boki mają formę stanika z bardzo długą baskiną i dopełnione są brytem przednim przyszytym nakształt wolantu przemarszczonego u góry w nagłówek 4 c. szeroki. Przody stanika krajane ze skośnego materyału lekko namarszczonego, otwierają się na jedwabnej marszczonej szmizetce z prostego kawałka 40 c. długiego, 50 c. szerokiego, zmarszczonego u góry i u dołu i wszytego w kołnierzyk fałdowany 5 c. szeroki. Rękawy składają się z szerokiej bufy sięgającej do łokcia i z wązkiej sztylpy. Haft gipiurowy 10 c. szeroki zdobi wykrój stanika i pokrywa sztylpy. Suknia z jasno popielatego kaszmiru przybrana żółtawo białym haftem, naszytym bogato kolorowemi szkiełkami, co sprawia wspaniały efekt.

N. 21—23. Suknia z upięciem à paniers.

Ryciny 21 i 22 przedstawiają przód i plecy sukni odszytej z odmiennych materyałów lecz jednym fasonem,

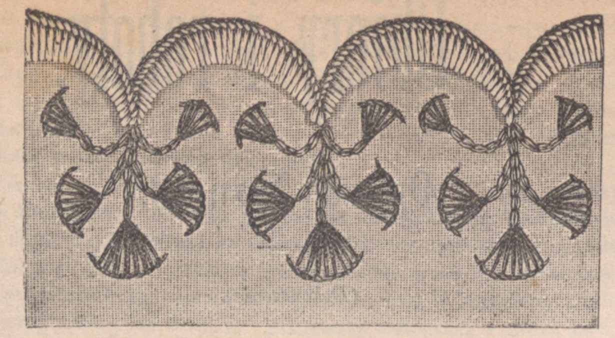
Na jedną suknię użyta jasna wełna w kolorowe grochy, bluzka dana z białej voile, kołnierz z haftu ażurowego, druga odrobiona z gładkiej materyi jedwabnej ciemnego koloru, przybrana szeroką czarną koronką. U dołu sukni ryc. 21 odwinięta jest w górę koronka 20 c. szeroka, użyta na kołnierz i mankiety a nawet może być zastosowana i na bluzkę. Jak to widać na ryc. 22 bluzka przyciśnięta jest przodami stanika skrzyżowanemi i tworzącemi jakby gorsecik. Upięcie à paniers składa się z dwóch części dopasowanych podług ryc. 23 z podwójnie wziętego materyału. Po złożeniu fałd drobnych z przodu, górny brzeg do gwiazdki naddaje się i przyszywa szwem odwracanym do stanika; brzeg boczny ściśle zfałdowany złożony gwiazdką do gwiazdki i następnie razem z resztą tworzącą tylne karoczko przyszyty na staniku (patrz ryc. 21).

N. 25. Szlak romański, wyszyty ściegiem krzyżowanym.

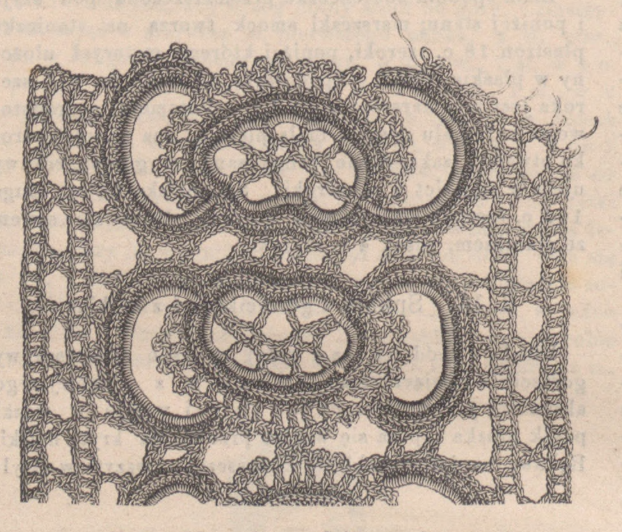
Odznacza się oryginalnością deseniu i wykonania; biały atlas podłożony bardzo grubem płótnem stanowi tło na którem trzeba narysować deseń. Następnie podług konturów przyfastrygowywa się przez wierzch bawełnę grubą knotową, stanowiącą podłożenie dla wypukłości haftu. Ścieg krzyżowany wyszywa się podług ryc. 25, zajmując małe ściegi pod spód a wierzchem krzyżując długie ściegi; do wyszycia użyty miękki jedwab miedzianego koloru. Jeżeli tło będzie wełniane lub bawełniane to stosownie do materyału użyć można do haftu wełny czy bawełny kolorowej.

N. 27—29. Okrycie krótkie jesienne.

Model do ryc. 29 był uszyty z krymskich baranków i jedwabnego pluszu zaś ryc. 27 przedstawia okrycie z adamaszku jedwabnego i gładkiego aksamitu; pod obydwa dana podszewka z czarnego atłasu. Rycina 28 wskazuje krój okrycia; przód *a* trzeba na ramieniu od punktu do punktu przymarszczyć, resztę zaś gładko przyszyć do karczka *b*. Dolna szerokość pleców *c* układa się w karoczko; przody prawie schodzą się z sobą na wcięciu stanu. Od spodu trzeba przyszyć wstążkę do wiązania.



N. 4. Szlaczek haftowany.



N. 5. Wszywka szydełkowa do ryc. 6.

N. 30 i 6. Paletot z ranwersami. Krój jak do ryc. 25 w N. 40.

Baskina przy jesiennych paletotach przedłuża się trochę podług teraźniejszej mody i jest więcej obcisła na podobieństwo męzkich tużurków. Nawet materyał niegładki himalaya naśladuje używane na męzkie ubrania. Model był w kolorze czarnym, cały na podszewce jedwabnej, a wzdłuż brzegów przednich, w odstępie 3 c. podszyty 11 c. szeroką listewką z materyi jedwabnej w grube prążki. Przy takiem podszyciu można odwijać nietylko ranwersy w górze, ale przody w całej długości jak to opisywaliśmy poprzednio (ryc. 32 w N. 41). Długość baskiny od wcięcia stanu do dołu wynosi 50 cent.; brzegi paletota objęte pletnią, daną i przy klapach kieszeniowych w jednym rogu zaokrąglonych, w drugim do tyłu skośnie ściętych, po 18 c. długich.

N. 32—34. Serweta wyszywana w kwadraty.

Rycina 32 przedstawia w maleńkim formacie wzór serwety haftowanej w kwadraty, przedzielane kratką ażurową. Tło stanowi cienka żółtawa kanwa kongresowa, fabrycznie lub ręcznie dzielona kratką ażurową w kwadraty po 8 c. liczące. Ryciny 33 i 34 przedstawiają w naturalnej wielkości dwa wzory wyszycia, danego naprzemian na całem tle serwety. Ścieg płaski urozmaicony jest krzyżykami i ściegiem luźnym.

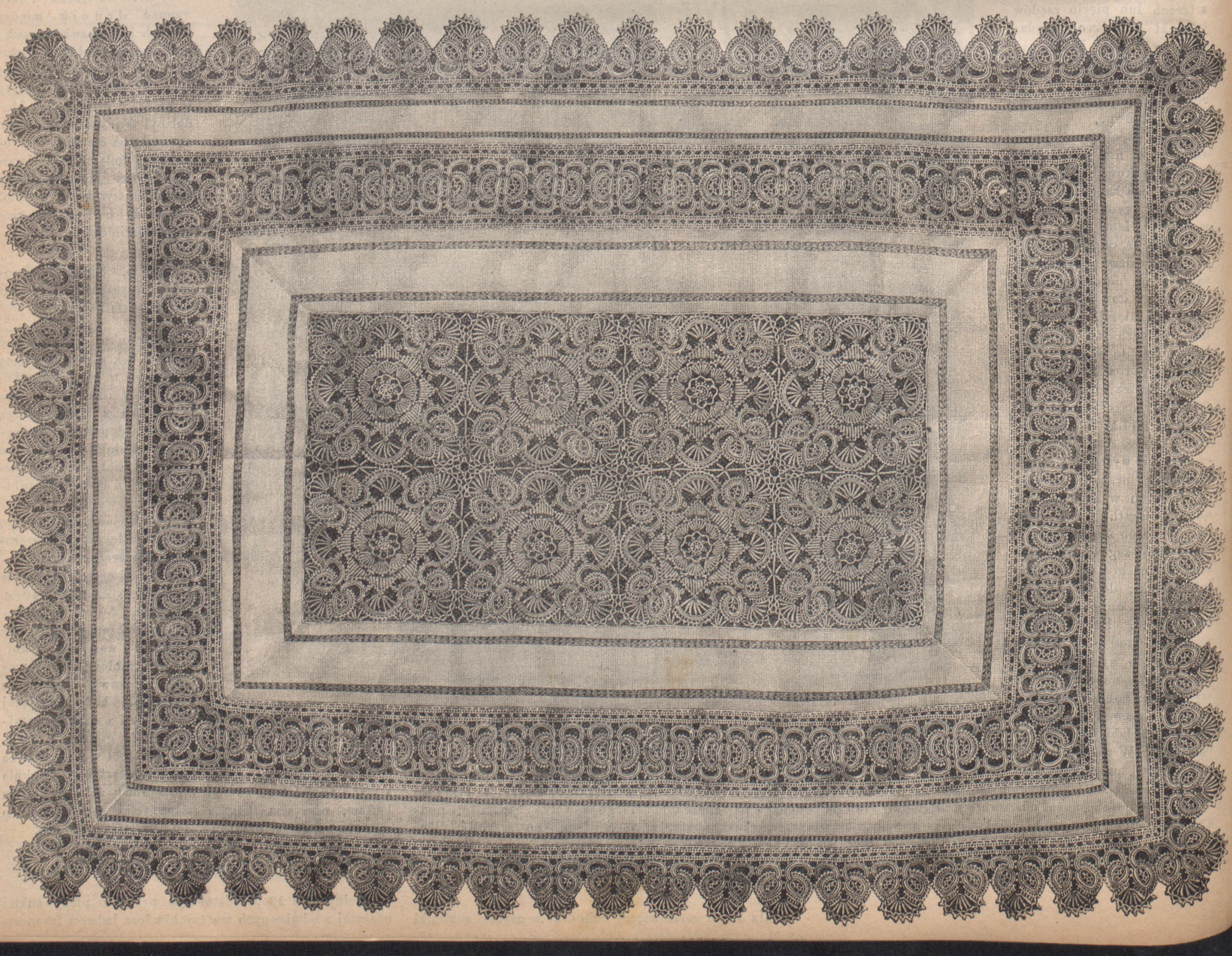
Opis do N-ru 44.

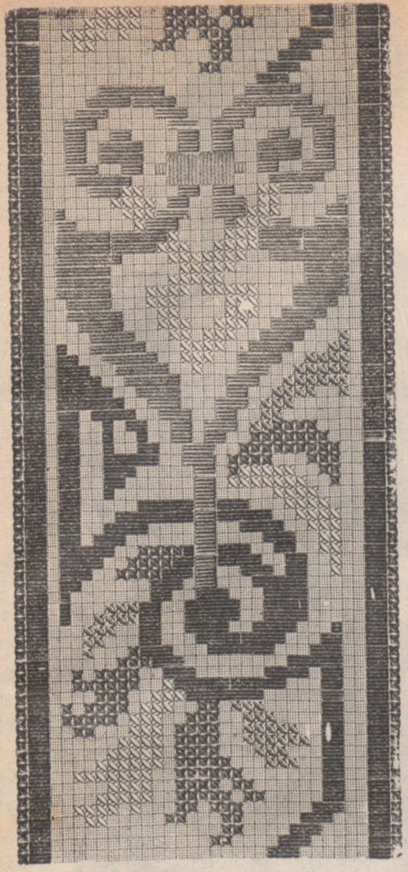
N. 1 i 3. Suknia ze stanikiem z długą baskiną. Krój spódnicy fig. 11.

Stanik ma szeroko otwarte przody zakończone koronkowemi ranwersami; w baskinę wszyte także koronkowe kliniki; długość przednia 15, tylna 28 c. wynosi. Fałdowanana kamizelka i kołnierz stojący dane z materyi w paski; na kamizelkę potrzeba kawałka 40 c. szerokiego przymarszczonego u góry i u dołu. Pasek obciskający przody jest z wstążki w pasy 14 c. szerokiej, zakończony z boku rozetą. Gładką powłóczystą spódnicę dopasować można podług fig. 11; tylne bryty złożone są w kontrafałdy.

N. 2. Suknia z potrójną baskiną. Krój i plecy N. X.

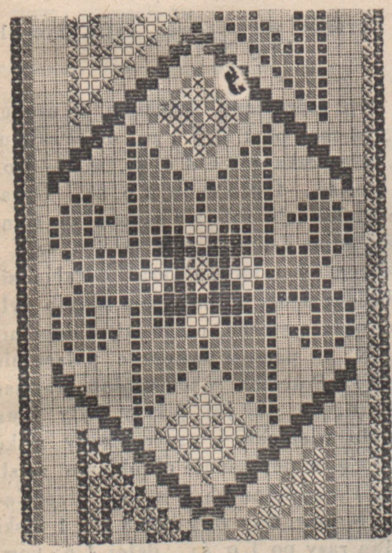
Model odrobiony z miękiej lamy piaskowego koloru, miał spódnicę krajaną kliniasto, uszytą bez podszewkowej;





1 miedz. 2 miedz. 3 miedz.
1 nieb. 2 nieb. oliwk.

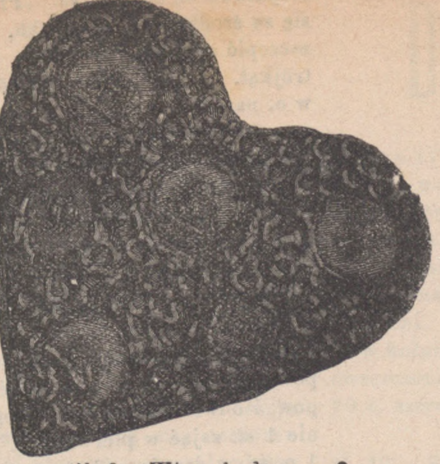
N. 10. Desenik na pas brzeżny do ryc. 11.



1 miedz. 2 miedz. 3 miedz.
oliw. brąz. drzewny szne-la ponsowa nitka złota.

N. 12. Deseń na pas środkowy do ryc. 11.

forma kliniasta konieczna jest przy potrójnej baskinie aby nie podnosiła się na fałdach. Fig. 64 daje wymiar kroju, środek tylnych brytów jest bardzo skośny, u dołu przedłużone są w mały tren. Spódnica podszewkowana jest materyą czarną pod którą u dołu dana listwa ze sztywnego muślinu 15 c. szeroka. Nakształt balejezy u dołu podszyta falbana wycięta w ząbki, 15 c. szeroka. Stanik zupełnie gładki, zapięty środkiem na kryte haftki; z trzech części baskiny ostatnia liczy 37 c. środkowa 80 c., zwierzchnia 21 c. długości; stopniowanie i ścięcie brzegów przednich trzeba dopasować na figurze, podług ryc. 2. Każdą część baskiny podszewkuje się materyą, w dwóch niższych daje się na biodrach zaszewki aby leżały gładko i przyszywa do stanika, górna część przyszyta szwem odwracanym. Podwójne pelerynowe przybranie przodów trzeba starannie dopasować na figurze, wpuszcza go się w szew szyi, ramion i pachy. 5 c. szerokie pliski z czarnej jedwabnej materyi gros-grain zakończają wszystkie brzegi. U dołu sukni dana pliska 7 c. szeroka przyszyta w odstępie 10 cent. od dołu.



N. 9 Wierzch do ryc. 8.

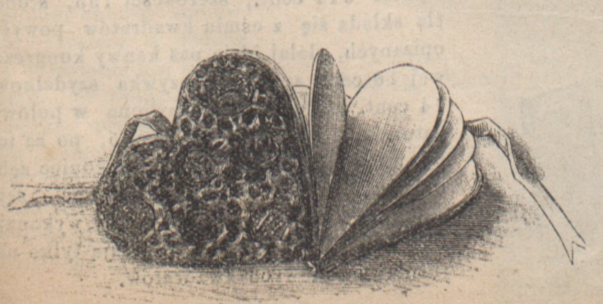
Wykonanie zaczyna się od środka kółeczkiem z 6 o. pow., dalej 4 o. pow., 1 sł. w pierwsze o. pow., 2 o. pow. — siedm razy po 1 sł. podwójnym (t. j dwa razy nawiniętym), zajętym w kółko, 1 sł. zajęty w sł. poprzedni; 2 o. pow dalej * 1 o. śc. w sł. 3 pikoty (każdy z 4 o. pow. i 1 o. śc. w pierwsze) 1 o. śc. zajęte w o. śc. po nad sł., 3 o. śc. za dwa o. pow. i powtarzać od gwiazdki. Obrobiwszy tak wokoło trzeba nitkę uciąć i zakończyć. Każdy z zębów w kształcie liści palmowych wykonany ściegiem w prążki odrabia się przy łańcuszku z 8 o. pow. w który zajęte 7 o. śc., siedmnaście rzędów tam i napowrót składa listek. Przeba zawsze zajmować za tylną nitkę oczek, na końcu 16 rzędu odwraca się robota i wszystkie ostatnie oczka rzędów nabiera na szydełko przewleka jedną pentelką i ściśle przerabia 1 o. Zrobiwszy rząd 17 robi się w dalszym ciągu ośm o. pow. nanastępny listek, skończywszy ósmy łączy go się za czubek pierwszego. U dołu listków dodane są ząbki naprzemian z 2 i 7 o. pow. przyczepiane o. śc., obrobione o. śc. naprzemian 3 o. śc. w maleńki a 10 o. śc. w duży ząbek, na środku dany pikot łączący ząbki z rozetką środkową. Pikoty zakończające górny brzeg listków liczą. * 1 o. śc. między dwoma listkami, 1 o. pow., 1 o. śc. (zajęte zawsze za czubek prążki) 1 p. 1 o. śc., 6 o. pow. zaczepione za dwoma pikotami poprzedniego listka i obrobione z powrotem ośmioma o. śc. przedzielonemi trzema pikota- [redacted]



N. 11. Pas haftowany do ryc. 13. Patrz ryc. 10—13.

N 4. Szlaczek haftowany.

Odpowiedni do sukienek, fartuszków, bielizny, ma ząbki dziergane białą bawełną a obrzucone z brzegu kolorową. Przy czubkach ząbków gałązki ponsowe ściegiem łańcuszkowym, zakończone kwiateczkami granatowemi



N. 8. Książeczka w kształcie serca. Krój N. XI. Otwarta patrz ryc. 9.

N. 5 — 6. Kapa na łóżko. Robota szydełkowa; kwadrat patrz N. 3 na arkuszu.

Kwadrat przedstawiony w naturalnej wielkości na arkuszu dodatkowym pod N. 3 może pojedyńczo wzięty służyć jako serwetka do mebli w połączeniu zaś stanowi bardzo efektowną kapę





N. 18. Sukienka dla panienki lat 8—10

stopniowo aż do 3 o. śc. Przy środkowym rzędzie zaczepia się za środkowy pikot listka, a przy końcu ostatniego rzędu zaczepić za środkowy pikot ząbka, poczem zacząć następny trójkąt. Obrobienie z pikotów składa się z jednego o. śc. w o. narożne, 5 o. pow. i 1 o. śc. w pierwsze o. z powrotem, na czubku trójkąta robią się trzy pikoty jeden przy drugim (podobnie jak w rozetce środkowej).

Narożne figury robią się każda oddzielnie i łaczą między sobą wachlarzami również oddzielnie odrobionemi; połączenie tych figur między sobą i z częścią środkową przedstawia z całą dokładnością N. 3. Każdy narożnik składa się z trzech części; wykonanie zaczyna się od figury dolnej w kształcie liścia z prawej strony od środka. Zrobiwszy łańcuszek z 40 o. pow. robi się z powrotem 1 o. śc. zajęte w 32 o. łańcuszka, 3 o. pow., opuściwszy dwa o. zająć 3 o. śc. w 3 o. łańcuszka, 6 o. pow. i odwrócić tak, aby brzeg dolny szedł do góry. Następnie 1 sł. zająć w pierwsze o. pierwszego ząbka, 4 o. pow., 1 o. śc. w drugie o. końcowego ząbka, 4 o. pow., 1 sł. w 4 o. 6 o. pow., 1 sł. zajęty przy ostatnim sł., 4 o. pow., 1 sł. w 2 o. następnego ząbka, 6 o. pow. i 1 o. śc. w ostatnie z trzech o. śc. W 1, 4 i 6 ząbek zająć po 11 o. śc. w 2, 3 i 5 po 7 o. śc. Wielki dolny ząb liczy 40 o. pow. obrobionych 40 o. śc. w które obróciwszy robotę i zajmując za tylne nitki oczek znów robi 40 o. śc. Na dalszą część deseniu której lewa strona leży do wierzchu, zajmując za tylne nitki robi się 25 o. śc., 2 o. śc. w pierwsze o. i 28 o. śc., znów odwrócić robotę i zajmując za tylne nitki robić 29 o. śc., 2 o. śc. w jedno o. i 25 o. śc. Poczem obróciwszy luźne ząbki do góry robić 1 o. śc. w pierwsze o. i pięć razy po 1. p. i 1 sł. co drugie o.,



N. 14. Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 15
Krój N. IV.

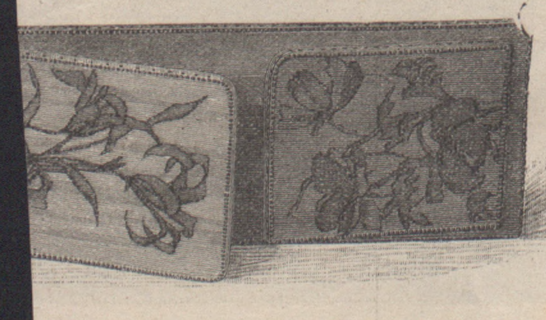
znów 1 p. zaczepiony środkiem za czubek ząbka, 16 razy po 1 sł. i 1 p., dalej zajmując za całe oczka górne 4 o. śc. w 2—5 o., znów 4 o. śc., 1 p. i znów 4 o. śc. Obrabiając wielki ząb robi się zawsze za tylne nitki zajmując dziewięć razy po 4 o. śc. i 1 p., poczem 4 o. pow. Teraz odrabia się obok będącą figurę w tenże sam sposób tylko w odwrotną stronę, czego łatwo dopełnić podług N. 3; poczem następuje połączenie pikotami. Potrzeba w ten sposób trzymać robotę w ręku aby jej pikoty były lewą stroną do wierzchu i przyrobiwszy nitkę zajmuje się w poprzednie obrobienie za sł. (16—21) przdzielonych p. zawsze przedzielając 2 o. pow. trzy razy po 3 sł. 1 niski sł. i dwa razy po 1 o. śc., dalej 4 o. pow. zajęte w 2 — 7 pikot drugiej figury znów dwa razy p. 1 o. śc. 1 niski sł. i 3 sł. przedzielane 2 o. pow. Znów odwrócić robotę i po 1 o. pow. za każde 2 o. pow. zająć po 3 o. śc., za 4 o. pow. 5 o. śc. i po 3 o. śc. w dwa o. śc. Następnie pięć razy po 15 o. pow. zaczepionych w najbliższe z pięciu o. sc. i 15 o. sc. zajętych za całe o. pow., 4 o. pow. zaczepione w o. sc. z prawej strony (patrz na N. 3). Dalej 3 o. śc. za ząbek 6 o. pow. zaczepione za pikot z prawej strony * 4 o. śc. za 6 o. pow., 1 p., 4 o. sc. za 6 o. pow., 1 o. śc. w ostatnie o. sc. zaczętego zęba, 3 o. śc., 3 o. sc. w następny ząbek, 6 o. pow. zaczepione w o sc. i powtarzać od gwiazdki aż do skończenia siedmiu ząbków. Po ostatnich 3 o. śc. trzeba nitkę uciąć i starannie zakończyć. Po skończeniu powyższego opisu pozostają tylko do odrobienia figury wachlarzowe z boków między narożnikami, złożone z siedmiu promieni zaczepionych w środkowy pikot trójkąta i obrobionych w górze trzema rzędami o. śc. i rzędem ząbków. Na każdy ząbek po 5 o. pow. zaczepionych w każde 3 o. śc, obrobionych najpierw oddzielnie 2 o. śc. w każdy i nakoniec 1 p. i 3 o. śc. w jednym ciągu przez wszystkie ząbki. Długość kapy wynosi 312 cent., szerokości 153; środek tła składa się z ośmiu kwadratów powyżéj opisanych, dalaj idzie pas kanwy kongresowej 16 cent. szeroki, wszywka szydełkowa 14 cent. szeroka przedstawiona w połowie naturalnej wielkości na ryc. 5, po za nią pas kanwy 13 cent. szeroki i nakoniec zęby brzeżne. Osoby wprawne w robocie szydełkowej z łatwością mając ryciny wykonają wszywkę i zęby które powtarzają tylko narożniki środkowych kwadratów.

(Dokończenie nastąpi).

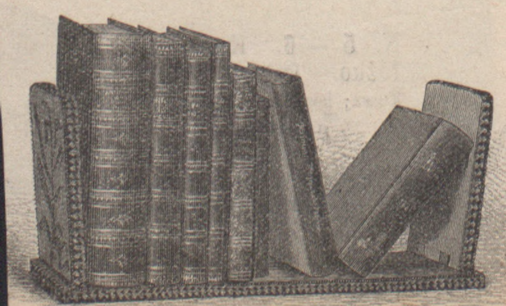


[redacted]

16 Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 6—8.
7. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5. Krój N. VI



Półeczka składana. Patrz ryc. 20 i fig. 54.



N. 20. Półeczka składana. Patrz ryc. 19.